

Na leśnych frontach

23.9.2026 - | Generalna Dyrekcja Lasów Państwowych

Przypominamy tekst Wojciecha Lady, który ukazał się w jednym z numerów miesięcznika "Głos Lasu".

Wrzesień 1939 roku dla wszystkich był wstrząsający, także dla leśników. Na początku wojny walczyło ich niewielu, ale przez kilka kolejnych lat robili to już niemal wszyscy, a w dodatku na wszystkich frontach.

Władysław Honiek był leśniczym w Zgoniu, co było zajęciem na co dzień dość spokojnym. Tego jednak ranka Honiek bardzo się spieszył. Zaledwie chwilę wcześniej spotkał w lesie oszalałego ze strachu pogranicznika w rozchełstany mundurze, od którego dowiedział się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że w okolicy grasuje kilkudziesięcioosobowa banda uzbrojonych volksdeutschów, która właśnie kieruje się do Nadleśnictwa Kobiór. Po drugie, że dosłownie kilkadziesiąt minut wcześniej wybuchła II wojna światowa.

Leśniczy nie był bardzo zdumiony. Od tygodni widział, że coś się święci po drugiej stronie pobliskiej granicy, nie mogło umknąć jego uwadze również to, że w nadleśnictwie, w Kobiórze, od jakiegoś czasu stacjonował niewielki pluton saperów, budujących w lesie różnego rodzaju zasieki i pułapki przeciwczołgowe. O wojnie zresztą mówiło się niemal otwarcie od kilku miesięcy. Nikt jednak nie wiedział, że wybuchnie ona właśnie tego dnia o świcie. Kiedy więc Honiek usłyszał o uzbrojonej bandzie nazistów, natychmiast wykręcił rower i skierował się do nadleśnictwa, by uprzedzić wszystkich o nadchodzącym ataku. Lasy pszczyńskie znał jak własną kieszeń, udało mu się więc dotrzeć do Kobióra przed nazistami. Mimo że nie był najwyższy rangą, szybko porozdzielał funkcje, zorganizował obronę, on też wystrzelił jako pierwszy – jedną kulą zwalając z konia dowódcę atakującej grupy.

Nie była to wielka bitwa. Tak naprawdę raczej drobna strzelanina. Na odgłos strzałów pojawili się co prawda saperzy z karabinem maszynowym, ale celnymi seriami atak wkrótce odparto. Nie mogło to jednak powstrzymać całej niemieckiej armii, która wkrótce wdarła się na Śląsk i już 3 września w ich rękach znalazł się również Kobiór. A jednak obrona tego śląskiego nadleśnictwa nie bez powodu przeszła do historii. Była to bowiem bodaj jedyna, w dodatku skuteczna, zorganizowana próba stawienia oporu przez leśników we wrześniu 1939 roku.

Rozkaz: ewakuacja

Nie znaczy to oczywiście, że leśnicy nie walczyli w kampanii wrześniowej. Co do liczb nie mamy pewności, ale byli obecni na wszystkich frontach września – ginęli, dostawali się do obozów jenieckich, większość zaś wróciła po klęsce i niemal w każdym przypadku włączyła się w działania partyzanckie. Szacunki są różne. Maciej Borczyński w „Almanachu polskich leśników kombatanów” doliczył się ich ok. 1,3 tys., z kolei Bohdan Szymanski na łamach „Sylwana” podaje liczbę ok. 2,0 tys. Niezależnie od różnic, w obu przypadkach trzeba mówić o mniej więcej dziesięciu procentach wszystkich ówczesnych pracowników polskich lasów, którzy wzięli udział w bezpośredniej walce. Brzmi to skromnie, ale tylko z pozoru. Po pierwsze, większość ówczesnych leśniczych dawno przekroczyła wiek poborowy. Po drugie zaś – wydano im zupełnie inne rozkazy.

Po wybuchu wojny lasy nabrały zupełnie nowego znaczenia. Drewno stało się jednym z kluczowych surowców dla przemysłu zbrojeniowego, który z oczywistych powodów musiał nagle zwieliokrotnić

produkcję. Zarówno więc dla Niemców, jak i dla Polaków, lasy stały się obiektami strategicznymi, a leśnicy – niezbędnymi dla ich funkcjonowania fachowcami. Dlatego pod broń powołano zaledwie dziesięć procent z nich, pozostałym zaś wydano rozkaz ewakuacji leśnictw – w pierwszej kolejności tych nadgranicznych – jak najdalej na wschód, wraz z dokumentacją, a zwłaszcza szczegółowymi mapami okolicy. 1 września nie spodziewano się jeszcze ataku Rosjan, planowano więc umocnić się na wschodzie, rozwinąć tam przemysł zbrojeniowy, do czego leśnicy byli bardzo przydatni.

Ostatecznie z tych planów niewiele wyszło. Dowództwo nie uwzględniło przede wszystkim tego, że ta wojna będzie wojną błyskawiczną, ale również tego, że zaledwie kilkanaście dni później także wschodnia granica przestanie być bezpieczna. „Nadleśniczowie – w zorganizowanych konwojach, z dokumentacją nadleśnictw i z dobranym personelem – starali się dostać do miejsc dyslokacji, położonych najczęściej we wschodniej części kraju. Niestety tylko niewielkiej części udało się dotrzeć na miejsce. W większości wypadków, w wyniku działań wojennych, konwoje zostały rozproszone, przewożone dokumenty utracone lub zniszczone, a uczestniczący w nich leśnicy, po przesunięciu się linii frontu, skierowali się do swoich jednostek organizacyjnych” – pisał Konrad Bul.

Dla przytłaczającej większości pracowników polskich lasów, okres intensywnej walki rozpoczął się więc dopiero po klęsce wrześniowej. Choć formalnie lasy przeszły pod administrację niemiecką, wobec nieznajomości terenu, okupanci zmuszeni byli zatrudniać Polaków i opierać się głównie na ich pracy. To z kolei sprawiło, że gajówki, leśniczówki i nadleśnictwa zamieniły się praktycznie w sieć punktów oparcia dla całej konspiracji zbrojnej w terenie. Udział w niej leśników był masowy. „Tylko nieliczni skalali się współpracą z okupantem” – przekonuje Bul.

Z lasu do West Point

Z potencjału tkwiącego w leśnikach doskonale zdawało sobie sprawę zarówno dowództwo tworzącej się konspiracji, jak i władze cywilne podziemnej Polski. Niemal bezpośrednio po klęsce wrześniowej, zadanie koordynacji leśnictwa powierzono Teofilowi Lorkiewiczowi – mającemu doświadczenia spiskowe jeszcze sprzed I wojny światowej, w dwudziestolecie zaś pełniącemu funkcję szefa Poznańskiej Dyrekcji Lasów Państwowych. Z jego inicjatywy powołano w podziemiu Radę Główną Leśnictwa i Centralny Ośrodek Oporu Leśników. Były to inicjatywy cenne i bardzo przydatne – z lasu do centrali płynęły informacje wywiadowcze, z centrali do lasu rozkazy, pieniądze i broń. Ale tak po prawdzie leśnicy w terenie najczęściej działali na własny rachunek, włączając się bezpośrednio w działalność partyzancką – głównie związanej z AK, ale nie tylko. Niektórzy, głównie starsi, skupiali się na ukrywaniu ludzi oraz sprzętu, dokumentowali niemieckie zbrodnie i straty leśne, prowadzili też działania wywiadowcze, a ulokowane w leśniczówkach radiostacje były często głównym źródłem kontaktów dowództwa z leśnymi oddziałami. Spora jednak część uczestniczyła w walkach bezpośrednio, z bronią w ręku.

Trzeba pamiętać, że niemal wszyscy leśnicy byli świetnie przeszkoleni. Jeszcze w 1933 roku Adam Loret powołał organizację Przysposobienie Wojskowe Leśników, na której kursach całkiem nieźle uczono technik dywersyjnych, doskonalono strzelanie, wykładano strategię walki partyzanckiej. W połączeniu ze znajomością terenu, czyniło z nich to naprawdę sprawnych żołnierzy, a dla partyzantów nie znających lasu byli wręcz bezcenni. Ważne było również to, że oficjalnie byli pracownikami niemieckiej administracji, co ułatwiało im bezpieczne poruszanie się w tych właśnie kręgach. W odróżnieniu od wszystkich innych młodych Polaków, ich obecność w lesie, w dodatku z bronią, nie wzbudzała podejrzeń. I wykorzystywali to skwapliwie.

Prawdopodobnie nie da się policzyć, ilu konkretnie leśników było zaangażowanych w działania partyzanckie, ale z opinii i relacji wynika, że była to zdecydowana większość. Najtrudniej było na terenach zachodnich, gdzie działalność utrudniał spory odsetek lokalnej ludności niemieckiej, jednak

na pozostałych obszarach leśników-partyzantów spotykało się powszechnie. Już w pierwszej takiej jednostce – oddziale legendarnego „Hubala”, majora Henryka Dobrzańskiego, operującym głównie w lasach spalskich – walczyło co najmniej sześciu leśników: trzech drwali, dwóch gajowych i leśniczy Wacław Biedrzycki z leśnictwa Szalas, który został później zamordowany przez Niemców. Nieco później na tym terenie powstały spontaniczne punkty oporu, włączone następnie w struktury Armii Krajowej, prowadzone przez Józefa Gomółkę, Antoniego Gabrysiewicza i Emila Borzędowskiego. Konrad Bul wylicza jeszcze kilkanaście nazwisk leśników, którzy pełnili funkcję dowódców podziemia na swoich terenach. Najszerszą jednak akcję partyzancką rozwinęło dwóch z nich: Florian Budniak z Kobieli Wielkich, oraz Mieczysław Tarchalski z Dąbrowy Zielonej. Obaj zresztą, operując w okolicach Radomska, połączyli siły.

Ich oddział, włączony ostatecznie do 7 Dywizji Piechoty AK, zdobył sławę jako batalion „Las”. Zarówno wspólnie, jak i wcześniej z osobna, obaj leśnicy prowadzili dywersję na kolei, wysadzali bądź wykolejali pociągi z bronią i amunicją, atakowali niemieckie posterunki oraz wykonywali wyroki na szczególnie brutalnych przedstawicielach niemieckiej policji i administracji. Udało im się nawet wyzwolić Włoszczowę – co prawda zaledwie na kilka godzin, było to jednak osiągnięcie. Nie brakowało też sporych bitew, w których straty niemieckie wielokrotnie przewyższały polskie. Dość wspomnieć najsłynniejszą z nich – pod Krzepinem. Jak zapamiętali Budniak i Tarchalski, tego dnia: „Zostały rozbite pacyfikacyjne oddziały okupanta, złożone z SS, żandarmerii i własowców; działały one w ramach dużej akcji oczyszczania zaplecza frontu, określonej kryptonimem >Hubertuseinsatz<. Straty nieprzyjaciela wyniosły trzydziestu zabitych i dziewięćdziesięciu dziewięciu wziętych do niewoli (...). Straty własne wyniosły trzech poległych i pięciu rannych”.

Według innych źródeł, zabitych Niemców było trzydziestu trzech, zaś Polaków siedmiu, co jednak nie zmienia skali sukcesu. Bitwa pod Krzepinem przeprowadzona była tak sprawnie, że jej opis, przetłumaczony na angielski, został włączony do materiałów szkoleniowych amerykańskiej akademii wojskowej West Point.

W największych bitwach

Wszystkie opisywane wydarzenia rozgrywały się na kielecczyźnie, która była terenem największej aktywności oddziałów partyzanckich, miejscem wyjątkowo silnego oporu i nie mniej brutalnych pacyfikacji. Tylko niewiele mniejszą aktywność wykazywali leśnicy na Lubelszczyźnie i Podlasiu. Istniało tam ponad czterdzieści nadleśnictw, co stanowiło siłę blisko tysiąca leśników wspomaganych przez dwa i pół tysiąca stałych robotników leśnych. „Uczestniczyli od początku wojny we wszystkich formach ruchu oporu – zbierali i przechowywali broń, ukrywali zbiegów i legalizowali ich pobyt, brali udział w tworzeniu struktur wywiadowczych, komunikacyjnych, kwaterunkowych i zaopatrzeniowych. Od 1941 roku prowadzili działania wspomagające rodzący się zbrojny ruch oporu” – tłumaczył Konrad Bul. Zgodnie z poleceniem Lorkiewicza, leśniczówki i gajówki zamieniły się w bazy operacyjne konkretnych oddziałów.

O tym, jak sprawnie wszystko to zostało zorganizowane, wiele mówi choćby to, że właśnie na tych terenach rozegrały się dwie największe bitwy polskiej partyzantki okresu II wojny światowej: pod Rąbłowem nieopodal Nałęczowa oraz w Lasach Janowskich. W obu zwraca uwagę wyjątkowo zgodna współpraca partyzantów Armii Krajowej, Armii Ludowej, a także partyzantów rosyjskich. Szczególnie w tej drugiej leśnicy mieli okazję wykazać się przygotowaniem bojowym. Podczas trzech dni na Porytowych Wzgórzach walczyło w sumie trzy, według innych źródeł trzy i pół tysiąca partyzantów. W starciu brał udział ponad stuosobowy oddział Armii Krajowej, dowodzony przez nadleśniczego Nadleśnictwa Huta Krzeszowska, Bolesława Usowa. Ponieważ siły niemieckie były blisko dziesięciokrotnie większe, to właśnie jemu setki partyzantów zawdzięczają życie. „Ostatniej nocy bitwy wyprowadził z okrążenia całe zgrupowanie. Mógł tego dokonać m.in. dzięki obecności w

oddziale Antoniego Nowosada, urzędnika Wydziału Lasów Ordynacji zamojskiej w Zwierzyńcu. Ocalone zgrupowanie zostało doprowadzone aż do lasów Puszczy Solskiej, na teren Nadleśnictwa Józefów nad rzeką Tanwią w pobliżu miejscowości Osuchy” – pisał Bul.

To oczywiście tylko kilka przykładów działań wojennych leśników. Mniejszych akcji były tysiące i miały miejsce praktycznie każdego dnia, na całym terenie okupowanej Polski. I zapewne trudno byłoby znaleźć choć jedną, w którą nie byłby zaangażowany ktoś zawodowo związany z lasem. Z jednym wyjątkiem: terenów wcześniej zajętych przez Rosjan. Tam bowiem od 1940 roku leśników prawie już nie było.

Z Syberii na Monte Cassino

Wbrew powszechnej opinii, na terenach zajętych po 17 września przez Rosjan terror nie zapanował od razu. Zdarzały się aresztowania, ale początkowo nie były one masowe – trochę tak, jakby czerwonoarmiści nie czuli się tu jeszcze pewnie, a według niektórych opinii, listy osób przeznaczonych do aresztowania okazały się nieaktualne. Pierwsza wielka fala wywózek na wschód rozpoczęła się 19 lutego i objęła wszystkie polskie służby mundurowe, a więc także leśników wraz z rodzinami. Było kilka kierunków. Polaków wywożono na podbiegunowe tereny północnej Rosji w jej europejskiej części, dalej na wschód – już na właściwą Syberię, a nieco mniejsza część, zdaje się, trafiła do Azji Centralnej, głównie do Kazachstanu. Zdaniem Józefa Brody, pierwszą grupę wywożonych kierowano głównie w okolice Archangielska, co oznacza, że leśnicy trafiali do improwizowanych pośrodku tajgi tzw. posiołków (oficjalna nazwa: specposiołki), w których więźniów zatrudniano przede wszystkim przy wyrębie drzew na potrzeby wojska.

Warunki bytowe i praca były tu mordercze. Pracę przerywano dopiero przy minus 50 stopni Celsjusza, w sięgającym powyżej kolan śniegu pracowało się zazwyczaj bez zimowych butów, nie wspominając o zerowym zabezpieczeniu. Wspomnienia zebrane w tomie „Wśród śniegów i bagien tajgi” (Poznań 2004) dają wstrząsające pojęcie tego, jak wysoka była tu śmiertelność – choć mimo wszystko mniejsza, niż w osławionych, syberyjskich łagrach, będących prawdziwymi fabrykami śmierci. „W brygadach, najczęściej dziesięcioosobowych z >dziesiątnikiem< na czele, a obok ze strażnikiem – enkawudzistą na koniu, uzbrojonym w karabin, prowadzono nas w głąb tajgi (...). Ludzie nawet ciężko chorzy nie otrzymywali zwolnień z pracy. Kto mógł utrzymać się na nogach, gnano go do tajgi głodnego, w łachmanach i rozpadającym się obuwiu – do bagna, błota, wody (...). Podczas pracy nie można było usiąść ani na chwilę” – zapamiętała jedna z bohaterki książki. Co ciekawe, nawet w takich warunkach nie brakuje wspomnień mniej dramatycznych. Jak choćby Stanisława Andresa, późniejszego leśniczego z Niepołomic. – Dziadek nie tyle nawet kochał las, co czuł się jego częścią. Nie narzekał na wywózkę. Po pierwsze dlatego, że uniknął w ten sposób Katynia. Po drugie jednak – bo wiedział, że w lesie, nawet takim jak tajga, jakoś zawsze sobie poradzi – opowiadał wnuk pana Stanisława, historyk Michał Wójcik.

Rzeczywistość okazała się co prawda znacznie trudniejsza, niż zakładał leśniczy Andres, ale istotnie sobie poradził. A kiedy 30 lipca 1941 roku zawarty został układ Sikorski-Majski – formalnie przynoszący wywiezionym do Rosji Polakom wolność – również on zyskał wreszcie możliwość podjęcia walki na frontach II wojny światowej. Podobnie jak wielu innych leśników zwolnionych z posiołków, ruszył w wielotygodniową, morderczą drogę z północy do Azji Centralnej, gdzie formowała się wówczas armia generała Władysława Andersa. Ci, którzy zdążyli dotrzeć i zaciągnąć się, walczyli później we Włoszech, m.in. pod Monte Cassino. Spóźnieni, z konieczności wybierali drugą opcję powrotu do rodzinnych lasów – zaciągnięcie się do armii Zygmunta Berlinga, czyli związanej z Armią Czerwoną dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Dziś wiemy, czym była ta jednostka i co ostatecznie przyniosła Polsce. Ale wówczas, dla przeciętnego

Polaka, zagubionego gdzieś na stepach Azji i praktycznie skazanego na śmierć z głodu lub szalejących tam epidemii, była to jedyna realna szansa nie tylko na przeżycie, ale też powrót do domu. Również do leśniczówek.

Źródło: Głos Lasu 09/2024

<https://www.lasy.gov.pl/pl/informacje/aktualnosci/na-lesnych-frontach>